

Uwielbiam neologizmy Lema. Powinien być zostać mianowany dyktatorem słownictwa technicznego w latach 80, zanim jeszcze zalała nas fala marnych tłumaczeń książek, czasopism dla komputerowców i systemów operacyjnych i zostawiła nas z dżojstikami, małspadami, windowsowym „wierszem polecenia”, w którym zadziwiająco mieści się więcej niż jeden wiersz i jedno polecenie, i kunkatorskimi technologiami które się wspierają albo nie wspierają. Próby buntu ze strony analnodetalicznych inżynierów owocujące propozycjami typu „manipulator stołokulotoczny” były z kolei zupełnie pozbawione gracji.

Rozwijająca się dziś z wolna debata o przyszłości i roli człowieka w świecie, w którym sztuczna inteligencja pozbawia go pracy, a wirtualny świat ze swoim scenariuszem i bodźcami jakie oferuje zaczyna być ciekawszym miejscem niż jednostajna, powtarzalna i chaotyczna rzeczywistość, nie różni się wiele od dylematów podjętych przez Lema w „Summa Technologiae”. Oczywiście lemowska intelektronika brzmi o wiele lepiej niż AI, a fantomologia powinna oficjalnie zastąpić w słowniku pokrakę wirtualnej rzeczywistości. Dzisiejsza debata jest bardziej pragmatyczna niż filozofowanie Lema, bo oto nagle jego fantazje technologiczne stały się rzeczywistością i on w przeciwieństwie do nas, nie musiał myśleć o rozwiązaniach.

W Dolinie Krzemowej karierę robi słowo *disruption*, które nie ma idealnego odpowiednika w języku polskim, bo ani to do końca zakłócenie, ani do końca wstrząs, ani do końca chaos. Po części jednak oznacza każdą z tych rzeczy, opisując moment, w którym nagle przychodzi nowe i kompletnie rozbija stare. Z kolei nasz zlepek „rewolucja technologiczna” brzmi zaskakująco miękko. „Technologiczna” oswaja „rewolucję” ograniczając ją do bezpiecznej domeny postępu i wyłącznie pozytywnych konotacji. „Disruption” to odważniejsze słowo, które mówi: zniszczymy stare, będą ofiary na rynku, będą ofiary w społeczeństwie, ale postęp jest koniecznością. Odwaga niszczenia i odbudowywania jest głęboko zakorzeniona w libertariańskiej filozofii przedsiębiorców z doliny krzemowej. Słynne „Fail fast, fail

often" („Popełniaj błędy jak najszybciej i jak najczęściej”) to mantra wszystkich koderów z Palo Alto i sposób prowadzenia poważnych wielomilionowych projektów, gdzie architekci tworzą systemy ograniczające konsekwencje i koszty błędów, aby pozwolić programistom wyzbyć się obawy przed błędem i tworzyć jak najwięcej okazji by na błędach się uczyć.

Pytanie, czy nasz globalny system ekonomicznych zależności może się całkowicie załamać, pod wpływem liczych drobnych „dysrupcji” technologicznych w kolejnych branżach. Wiemy już że jest bardzo wrażliwy przez swoje splątanie, doświadczyliśmy tego w 2007 roku. Wiemy też, że ekonomia jako nauka poniosła wtedy spektakularną porażkę, nie przewidując niczego, z tego co nastąpiło i co przygniata nas właściwie do dziś. Cała nowoczesna ekonomia ze swoimi modelami i matematyką bazuje ściśle na ekstrapolacji powojennej rzeczywistości i spektakularnego wzrostu dobrobytu i bogactwa w latach 40-80, wspieranego między innymi technologią. Technologia jest naszym zaufanym kumplem – dużo nam pomogła. Pomogła nam porzucić nisko opłacane prace, na rzecz bardziej złożonych. Skłoniła nas do edukacji, by nadążyć za złożonością jej i świata. Przeniosła na nas zyski ze zwiększonej produktywności, pozwalając nam więcej zarobić. Spirala nakręcała się przez dziesięciolecia w górę.

Skąd jednak pewność, że tak będzie zawsze? Widzimy przecież, jak od lat 70 płace w krajach zachodnich ulegają stagnacji i „odrywają” się od rosnącej produktywności i zyskowności. Widzimy też jak płace, są coraz mniejszym składnikiem kosztów. I to z uwzględnieniem kosmicznych pensji współczesnych menedżerów. Kryzys, podczas którego masowym zwolnieniom towarzyszyły niespotykane wzrosty zyskowności korporacji, ukazał w jaki sposób zatrudnienie jest balastem. Kryzys był też dobrym pretekstem by ten balast zrzucić, zainwestować w większą automatyzację i odkryć, że w zasadzie nie trzeba nowych ludzi, tylko sprawniejszych procesów. Stąd obserwowany w USA i w Anglii fenomen wyjścia z recesji z dużym bezrobociem

(*jobless recovery*). W Anglii zatrudnienie wyglądało nieco lepiej, ale gdy się przyjrzeć charakterowi tego zatrudnienia, zobaczymy olbrzymią ilość osób pracujących znacznie poniżej swoich kwalifikacji i zarabiających mniej niż przed kryzysem.

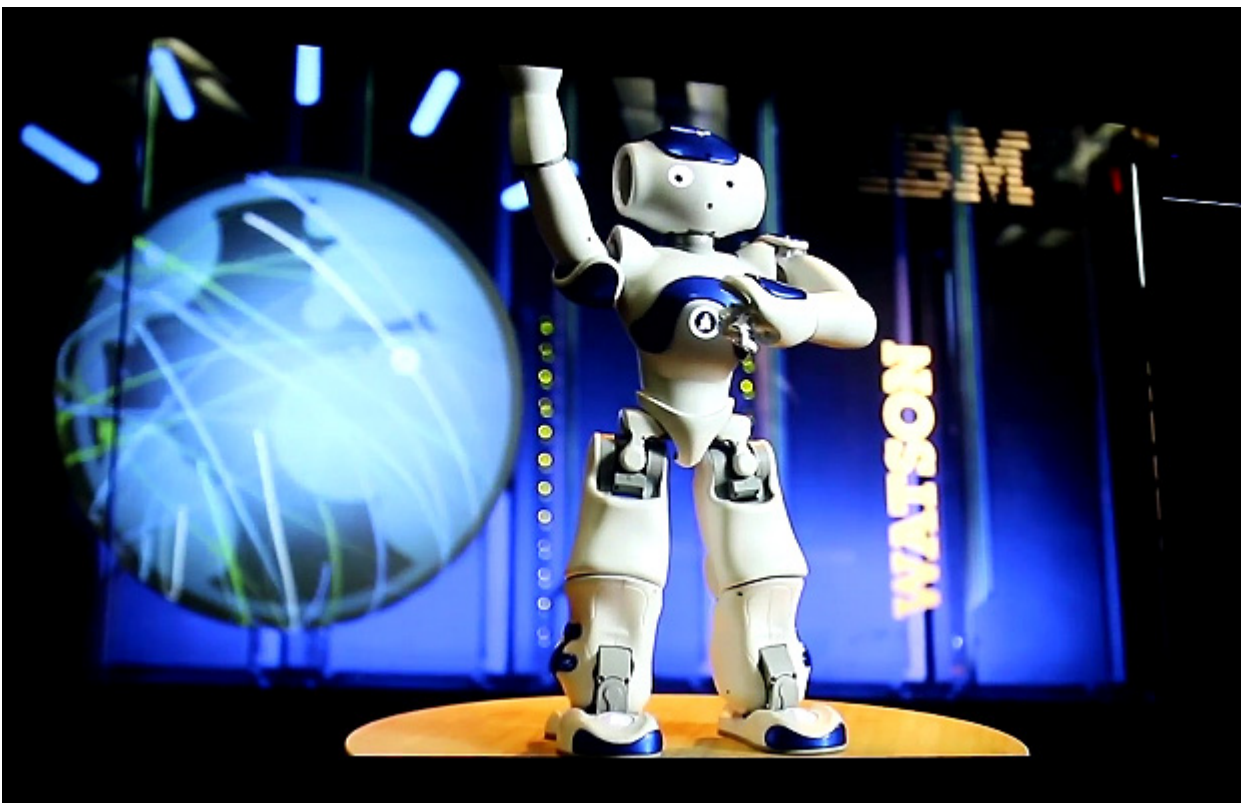
W USA olbrzymia część siły roboczej pracuje dziś w sektorze detalicznym lub gastronomicznym za minimalne stawki. Czasy gdzie praca oznaczała dom i samochód zmieniły się w czasy gdzie pracownicy sklepów i gastronomii są na zasiłkach by nie umrzeć z głodu, a korporacje w których pracują notują rekordowe zyski. Państwo pokornie dorzuca się do pracownika, a może czas by się zastanowić, kto w tej sytuacji jest utrzymankiem państwa? Ludzie, czy korporacje?

Człowiek staje się więc coraz poważniejszym balastem dla firmy, która musi dorównać zyskowością konkurentom w branży, by móc przetrwać w następnych latach. Tymczasem technologia jest coraz większym sprzymierzeńcem biznesu. I jest coraz tańsza, bo zgodnie z prawem Moore'a rośnie wykładniczo.

Pewien amerykański przedsiębiorca pracuje właśnie nad automatem do hamburgerów. I to nie takich jak z Makdonalda, tylko wersji luksusowej z możliwością dowolnego wybierania mięs, dodatków i sosów. Automat będzie kroił i smażył na świeżo, jak robot zastępujący dobrego restauracyjnego kucharza. Wizja Makdonalda niemal bezzałogowego, z o wiele lepszym i zdrowszym jedzeniem, jest całkiem realna.



Tymczasem nobliwy IBM postanowił wrócić do gry ze swoim Watsonem – super inteligentnym systemem, który posługuje się językiem naturalnym. Zamiast premiery, IBM wystawił Watsona do pełnego gry słów i niuansów językowych teleturnieju Jeopardy. Watson wygrał milion dolarów i gdyby nie to, że IBM obiecał przeznaczyć wygraną na cele charytatywne, byłby pewnie najbogatszym robotem.



Każdy na pewno pamięta wzburzenie i strajki francuskich taksówkarzy, którym twórcy Ubera zafundowali małą ‚dysrupcję’. Małą, bo za chwilę przyjdzie duża w formie automatycznego samochodu. Nie każdy jednak wie o wzburzeniu wykładowców z katedr literatury angielskiej brytyjskich uczelni na wieść, że pewne uczelnie z olbrzymim sukcesem zaczęły stosować sztuczną inteligencję do sprawdzania studenckich esejów.

Po cichu, na naszych oczach, dokonuje się przełom w dziedzinie algorytmów samouczących się. Algorytmy świetnie sprawdzają się jako specjaliści, ale wciąż są i długo będą słabymi generalistami. Mogą nas ograć w szachy, wygrać teleturniej, lepiej przyjrzeć się zdjęciu radiologicznemu i zdiagnozować coś standardowego. Problem jednak w tym, że rynek pracy potrzebuje głównie specjalistów. I jak widać problem erozji zatrudnienia nie musi ograniczać się do „małpiej roboty” pracownika makdonalda i równie dobrze może dotknąć lekarza, prawnika, czy doktoranta. Czyli wszystkich tych zawodów, które polecamy naszym dzieciom, jako absolutne pewniaki na przyszłość.

Nasze dzieci z jednej strony staną więc do walki o pracę z coraz bardziej przemyślnymi robotami i mogą przeżyć w związku z tym generalny kryzys motywacji (po co mam cokolwiek robić skoro one robią to lepiej), a z drugiej będą coraz bardziej kuszone łatwym i szybkim spełnieniem w wirtualnej rzeczywistości, gdzie będą mogli być zwycięzcami, dowódcami, gdzie będą przeżywać przygody, na które w normalnym świecie coraz trudniej osiągalne. Doświadczanie ciekawych rzeczy w świecie realnym stanie się „luksusową restauracją”.

Jedynym rozwiązaniem powyższego problemu o jakim się dziś mówi jest powszechna wypłata. Usilnie zabiegają o to libertariańscy technokraci z doliny krzemowej, co wydaje się na pozór sprzeczne z ich filozofią, ale gdy się zastanowić, to przecież oni kreują nową technofeudalną przyszłość, w której sami będą panami, dlatego więc nie zobowiązać państwa do zaopiekowania się niebezpiecznie niezagospodarowaną masą, która może się

przeciw panom zbuntować. Ze swojej strony mogą jedynie zaoferować tani i wieczny sen na jawie, czyli wirtualną rzeczywistość.